WSPÓŁUDZIAŁ W PRAWODAWSTWIE.

Ostatni wyraz, dążności społecznych epoki współczesnej, streszcza się w postawieniu demokratycznej zasady : równości wszystkich wobec prawa ponad panującem dotychczas władztwem przywileju i przemocy.

Zasada ta, znajduje urzeczywistnienie w ustrojach społecznych tych państw, które zaprowadziwszy bezpośrednie, powszechene, tajne głosowanie, uznały temsamem prawodawstwo ludowe, pojmowane zarówno jako sankcya, jak i inicyatywa za rozstrzygającą władzą państwową.

Rozszerzeniem do ostatecznych granic zasady powyższej, jest uzupełnienie jej dodatkiem „bez różnicy płci", wstawionym do programu skrajnej lewicy stronnictw politycznych, we wszystkich krajach kulturalnych i przyznanie praw obywatelskich kobiecie, zapomnianej do niedawna przez wszystkie, nawet najradykalniejsze żywioły, dążące do poprawy i uszlachetnienia prawodawstwa.

Równouprawnienie kobiety pod względem polityczno-prawnym i społeczno-ekonomicznym, jest jednak na razie tylko idealnem, teoretycznem postawieniem zasady, opartej na poczuciu słuszności i sprawiedliwości szczerych zwolenników postępu.

Wprowadzenie jej w życie napotyka na nieprzezwyciężone dotychczas przeszkody, ze strony ludzi nieszczerych, nierozumnych i chroniczną tępotą umysłu obdarzonych, których głos jednak, mocą tradycyi i przywileju, jest niestety wciąż jeszcze decydującym w sprawie całości zjawisk społecznych, tak ściśle z ustrojem państwowym związanych.

Nawet tam, gdzie jak w Australii, niektórych stanach Ameryki Skandynawii i innych, równouprawnienie kobiety pod względem polityczno-prawnym, zostało jej już częściowo przyznanem i w praktyce stosowanem być zaczyna, ogranicza je wiele bardzo zastrzeżeń, mających uzasadnienie jedynie i wyłącznie w przynależności do płci innej, nie opierających się na jakichkolwiek poważnych argumentach.

Wywołuje to bardzo zabawne i sprzeczne z najelementarniejszą logiką zjawiska, że np. kobieta, mająca stopień naukowy, pozbawioną jest praw, z których korzysta mężczyzna analfabeta, lub żona energiczna i fachowo wykształcona, będąca kierowniczką naukowego, przemysłowego,

handlowego i t. p. przedsiębiorstwa, oraz żywicielką rodziny, nie może nic postanowić bez asystencyi i pozwolenia męża, próżniaka, rozpustnika, głupca lub niedołęgi — bo ona to, nie on, zalicza się, jako osoba prawna do „bezwłasnowolnych".

Oczywiście konflikty takie i sprzeczności są nieuniknione, dopóki równość wszystkich obywateli będzie fikcyą, ponieważ ją niezliczone ograniczenia, cenzusy, zastrzeżenia redukują do zera nawet tam, gdzie teoretycznie przyjęto ją jako podstawę, na której ma opierać się prawo. Usunąć ją może tylko proste, szczere i bezwzględne postawienie, przeprowadzenie i stosowanie, równości wszystkich obywateli wobec prawa bez żadnych zastrzeżeń i żadnych ograniczeń.

Zanim to nastąpi, winny te składowe części ludności, które są pod względem prawnym upośledzone, uświadomić sobie pokrzywdzenie swoje i sformułowawszy żądania, do usunięcia ich zmierzające — dążyć niestrudzenie do ich urzeczywistnienia.

Jakie stanowisko wobec reform, dokonywujących się w rozmaitych państwach, zajmują i powinny zająć kobiety?

Pod względem programu, mającego na celu równouprawnienie kobiety z mężczyzną, pod względem polityczno-społecznym — dzielą się walczące kobiety na dwie bardzo wyraźnie zaznaczające się, a często nawet nieprzyjaźnie wobec siebie występujące grupy. Zauważyć się przytem daje dziwne, chociaż dość pospolite zjawisko, sprzeczności ogólnego programu ze środkami, mającymi służyć jakoby do przeprowadzenia go w życiu.

Bojowniczki o prawa kobiece (tzw. Frauenrechtlerinen), występujące w imię zasady „wszechkobiecości", odrzucającej wszelkie partyjne i klasowe różnice interesów kobiecych, dla postawienia jednej dla wszystkich zasady solidarności płci — pod względem politycznym są niezmiernie skłonne do zatrzymania rozdziału między obywatelami jednego państwa na klasy, kurye i t. p. ograniczenia, chroniące jednych, a krzywdzące drugich — byle wywalczyć prawa polityczne dla kobiet, choćby pewnych klas i do pewnych kuryj należących.

Przeciwnie, kobiety walczące w szeregach ludowych, a więc występujące w imię interesów i solidarności klasowej — odrazu przyjęły za zasadę bezwzględne i uchylić się niedającą żądanie: równych praw politycznych, dla wszystkich obywateli bez różnicy płci.

Odstąpić od tego żądania, szczerze i uczciwie dążenie swoje do obywatelskiego równouprawnienia stawiającej kobiecie, dzisiejszej nie wolno.

Uzasadniać tego niema potrzeby. Każdy człowiek, miarkujący to, co się koło niego dzieje, umiejący rozumieć i rozumować, jeżeli jest uczci-

wym i szczerym, wie, że wszelki przywilej przeciwstawia się krzywdzie i że żądanie lub przyjmowanie stanowiska wyjątkowego, jest równocześnie żądaniem lub przyjęciem na swoją odpowiedzialność równoważącego upośledzenia tych, co ubiegać się o nie prawa nie mają.

Za usprawiedliwienie służyć tutaj nie może stawiany często pozór walki, między siłą mężczyzny a słabością kobiety. Mężczyzna należący do klasy upośledzonej pod względem praw politycznych, choćby miał najsilniejsze pięści, jest w dzisiejszym ustroju stokroć razy słabszy od najwątlejszej kobiety, którą uprzywilejowane stanowisko klasowe chroni i osłania.

Ideałem sprawiedliwości, do której dąży ludzkość w kulturalnym swoim rozwoju, jest zrównanie wszystkich ludzi wobec prawa i zrzeczenie się praw, któreby były przywilejem jednostek, a nie aktem sprawiedliwości dla ogółu. Do ideału tego dążyć winna kobieta jako ta, która biorąc mniejszy udział w walce o byt, sprzyjającej rozpętaniu instynktów drapieżnych, nie zniweczyła w sobie tęsknot ducha, rwącego się do stwarzania dobra i piękna na ziemi.

Argument, że są stronnictwa, które stawiają programy daleko idące teoretycznie, a w praktyce korzystają z chwilowo przysługujących im przywilejów, ze względów utylitarnych, nie wytrzymuje krytyki szczerze i prosto sformułowanego dążenia.

Jesteśmy żywiołem społecznym, który wieczność całą był biernem i nieproduktywnem narządziem w ręku tych, co dzierżyli władzę. Zbudziłyśmy się w epoce, kiedy duch ludzki, wyzwolony z pęt barbarzyństwa i dzikości, miał zupełnie jasne zrozumienie dla idei sprawiedliwości i wolności. Gdybyśmy dziś szły nie za głosem tego ducha, który do postępu i prawdziwej kultury ludzkości prowadzi — ale dla drobnych, chwilowych, jednostkowych korzyści, sprzymierzyły się z temi, co tamy budują i kamienie rzucają pod nogi, wiodących ludzkość na nowe drogi, to raczej nam było, nie budzić się wcale i w niewolnictwie swojem biernem przetrwać do końca świata.

Kobiety stanowią połowę ludzkości. Równouprawnienie ich musi decydujący wpływ wywrzeć na dalszy rozwój kultury. Będą one jak fala, która ujęta w karby rozumnej i świadomej woli, niby wody spławne, pośredniczką będzie między ludami i szafarką wspólnych dorobków dla dobra wszystkich — albo nieokiełznana i bezmyślnie obrywająca z brzegów, co się urwać da — niszczącym zalewem zniweczy dotychczasowy plon, dążącego do postępu człowieka.

Do walki o równouprawnienie przystąpić nam wolno tylko z zupełnem uświadomieniem, jakie ono na nas obowiązki włoży i jakiem być musi nasze najbliższe dążenie — nasz program i nasz cel.

Jeżeli przyjdziemy żądać praw obywatelskich i politycznych w imię sprawiedliwości, musimy pamiętać, że poczucie uczciwości nie pozwala nam żadnych wyjątków, żadnych ograniczeń, żadnych przywilejów dla siebie żądać i przyjmować — tylko stawiać żądania razem z tymi, dla których, zgodnie z nauką Chrystusa, wszyscy ludzie są równi — a więc wszyscy mają mieć równe i bezpośrednie prawo, do przyjmowania udziału w prawodawstwie.

Marya Turzyma.

STATYSTYKA BEZROBOTNYCH.

Wśród robotników przemysłowych najwięcej bezrobotnych jest budowlanych i krawców, potem idą metalowcy. Rozpatrując mężczyzn i kobiety oddzielnie, największy brak pracy u mężczyzn, znajdziemy wśród murarzy, malarzy pokojowych, robotników dziennych niezawodowców, drukarzy, krawców, służby domowej i cieśli; najmniejszy wśród szewców, tokarzy i woźniców transportowych. Wśród kobiet brakiem pracy najbardziej dotknięte są zajęte w przemyśle budowlanym, drukarskim, piekarskim; najmniej w introligatorskim, gospodnio-szynkarskim i szewskim. W zawodach sezonowych, których sezon martwy przypada na koniec grudnia, wysoki procent bezrobotnych nie dziwi, w tych atoli, gdzie święta i nowy rok zwiększają produkcye, jak np. u piakarzy, brak pracy jest podwójnie smutnem zjawiskiem.

Przejdźmy do czasu bezrobotności. Na 1000 bezrobotnych, pozbawionych było pracy:

	od 1 dnia,	2–28 dni,	29–90 dni,	nad 90 dni,	przez czas bliżej nieokreślony
w Wiedniu .	39	260	343	232	126
„ Lincu. . .	7	266	615	—	112
„ Gracu . .	33	293	360	224	10
„ Tryeście. .	9	96	271	485	139
„ Pradze . .	16	238	387	313	36
„ Pilznie . .	10	315	580	—	95
„ Bernie . .	12	201	356	337	94
„ Lwowie . .	8	119	362	273	238
„ Krakowie .	9	154	338	314	185

Największa zatem liczba bezrobotnych pozbawiona była pracy od przeszło czterech tygodni, wielu już od kwartału. Krótszy czas niż tydzień trwała bezrobotność tylko wyjątkowo.

Kwestya: jaki był bezpośredni powód utraty pracy jest niedostatecznie opracowana. Z publikacyi dowiedzieć się jedynie można, w ilu

wypadkach bezrobotność nastąpiła skutkiem choroby. Choroba jednak w większości uwzględnionych miast jest przyczyną utraty pracy zaledwie w jednej trzeciej wypadków. Publikacya zatem nie wyjaśnia najciemniejszej strony problemu, nie daje bowiem skazówek, w jaki sposób rekrutuje się rezerwowa armia przemysłowa. Nie dowiadujemy się, czy w większej części składa się ze stale bezrobotnych, którzy tylko przygodnie znajdują zajęcie, lub czy też członkowie jej ustawicznie się zmieniają. Skoro bezrobotność będzie się badać oddzielnie, a nie przy sposobności spisu ludności, wówczas dopiero zachodzić będzie możność przekonania się, czy istnieje coś w rodzaju „zawodowej“ bezrobotności.

Przypatrzmy się jeszcze, jak okoliczności tego rodzaju, co wiek, czas pobytu w danej miejscowości, stopień wykształcenia, nieznajomość języka, wpływają na trudność znalezienia pracy. Co do wieku Wiedeń dostarczyłby nam następujących danych. Na 100 bezrobotnych znajdujemy tam w wieku

od lat 14 do 15	mężczyzn 1·46	kobiet 2·75
„ „ 16 — 20	„ 15·46	„ 19·15
„ „ 21 — 25	„ 17·99	„ 21·39
„ „ 26 — 30	„ 20·12	„ 20·26
„ „ 31 — 35	„ 11·81	„ 8·73
„ „ 36 — 40	„ 7·10	„ 5·52
„ „ 41 — 45	„ 7·18	„ 5·24
„ „ 46 — 50	„ 5·87	„ 4·71
„ „ 51 — 55	„ 4·97	„ 4·35
„ „ 56 — 60	„ 4.18	„ 3·74
„ „ 61 — 65	„ 2·35	„ 2·37
ponad 65	„ 1·51	„ 1·76

Największa liczba bezrobotnych przypada na pierwsze lata pracy zarobkowej; od trzydziestego roku życia szybko zmniejsza się liczba bezrobotnych. Odnosi się to w tej samej mierze do kobiet co i do mężczyzn. Niepewność zajęcia w latach 26 do 30 jest największa, co 16 mężczyzna w Wiedniu, co 40 kobieta są bez pracy.

Badając czas pobytu w danej miejscowości, przekonywujemy się, że „czasowo obecni“ stanowią bezwzględną większość wśród bezrobotnych. Zjawisko zupełnie naturalne wobec dążności do znalezienia pracy gdziekolwiek, poszukiwania jej wszędzie.

Badanie stopnia wykształcenia nie pozwala wysnuć żadnych wniosków co do zależności większej lub mniejszej łatwości znalezienia pracy od wykształcenia. W niektórych miastach liczba analfabetów pomiędzy bezrobotnymi jest większa niż przecięciowa, wśród miejscowej ludności, co wskazywałoby na uprzywilejowanie nawet analfabetów, w innych przeci-

wnie jest mniejsza. Zawisło to widocznie od charakteru danego miasta, t. j. możliwości znalezienia pracy, do której nie potrzeba żadnego wykształcenia.

W wysokim natomiast stopniu powoduje bezrobotność nieznajomość miejscowego języka. W Wiedniu na 1000 mieszkańców używa języka czeskiego 62, wśród 1000 bezrobotnych było władających tylko czeskim językiem 168. W miejscowościach jednak, gdzie większość ludności nie mówi po niemiecku, wśród bezrobotnych nie spotykamy większego procentu niemców, niż wśród miejscowej ludności. Wyjaśnia się to tem, że niemiec bez roboty szuka pracy w Niemczech, a słowianin, wobec niższego na ogół rozwoju przemysłu w krajach słowiańskich, szukać pracy musi w niemieckich okolicach.

Co do stosunków rodzinnych bezrobotnych na podstawie danych publikacyi stwierdzić można naturalny zresztą fakt mniejszej ilości żonatych u bezrobotnych, niż u miejscowej ludności odpowiedniego wieku. Ciekawy a trudny do wyjaśnienia wyjątek stanowi pod tym względem jedynie Lwów i Kraków.

Tak w ogólnych zarysach przedstawiają się dane, dostarczone przez tę pierwszą próbę statystyki bezrobotnych w Austryi; ograniczenie jej do kilku gmin miejskich obniża jej wartość, sam fakt atoli wkroczenia na to odłogiem leżące pole badań socyalno politycznych zasługuje na uznanie.

dh.

Z DAWNYCH BOJÓW...

Siadywali dawniej starzy u kominka lub pod cienistem drzewem i opowiadali młodym o bojach dawnych, o bohaterstwie ludzi odważnych jak lwy, o szczęku oręża, wielkich zwycięstwach, torujących pochód narodów ku dobrobytowi, o wielkich smutnych klęskach, które spadały na narody ospałe, by je z odrętwienia wyrwać...

Opowiadania te miały zapalić w sercach słuchających wielkie ognisko miłości swej ziemi, szczękiem oręża żywo odtworzonym hartować dusze, by nie przymknęło się w boju oko z trwogi, gdy rzeczywiste zagrzmią salwy.

Minione dzieje.

Choć i dziś jeszcze nie zamieniono oręży w lemiesze, choć one dziś może głośniej nawet brzmią, w o j n a, b ó j k r w a w y jako i d e a ł należy do przeszłości. Żyje ona dziś jeszcze jako przeciwieństwo jaskrawe naszych dążeń, ideałów, by dawać świadectwo temu, iż wogóle współczesny ład społeczny, w sprzeczności z naszemi tęsknotami się znajduje.

Inne boje toczyć chcemy, inne walki – innym orężem.

Przedmiotem walki naszej nędza, ciemnota, ucisk. Wrogiem to wszystko, co na nich byt swój opiera, z nich korzyść ma i pożytek. Orężem praca myśli, idea niesiona w coraz dalsze szeregi cierpiących a śpiących budząca z uśpienia, do walki wzywająca.

A bój ten ma już także swoją długą historyę. Historyę dziwnie pokrzepiającą, głośną w czyny, poświęcenia. Historyę, będącą długim w nieskończoność się snującym pasmem starań. Tu i ówdzie pasmo to krwawe mówi, iż walce idei przeciwstawiono pięść zbrojną i stopę żołdacką.

Gdzieindziej pasmo to wskazuje przerwy, nowe połączenia i tak ciągle w nieskończoność..,

A warto się w tę historyę wsłuchać. Historya to naszych walk, o ideały nasze, historya walk o przyszłość. Warto tembardziej w chwili obecnej, gdy wypadki przypominają nam nagle ohydę i grozę stanu istniejącego.

Warto, gdyż historya ta pokrzepia, umacnia i utrwala w ukochaniu walk naszych.

Takimi „wieczorami pod lipą“ jest książka Józefiny Butler: Moj pochód krzyżowy, wydana obecnie przez redakcyę warszawskiego Ogniwa*). Książka to pierwsza o abolicyonizmie wydana po polsku. Jeżeli chodziło o zapoznanie czytelnika polskiego z tym wielkim i poważnym ruchem, jego zasadami i rozwojem, to wybór redakcyi Ogniwa niezbyt dobrze był zrobiony. Książka Butlerowej nie daje ani obrazu systemów reglementacyjnych, i ich wpływu na życie, ani argumentów abolicyonistów. Jeżeli jednak chciała redakcya Ogniwa dać książkę, która w czytelniku obudzić ma miłość dla samej sprawy żarem z niej wiejącym, to cel ten spełnia książka w zupełności.

Spełnić go musiała.

Przedstawia bowiem żywot i pracę Józefiny Butler, kobiety wielkiego ducha, żywego umysłu i płomiennego zapału, która wystąpiła z odwagą i poświęceniem w społeczeństwie świętoszkowskiem w „sprawie drażliwej“, czynem walczyła w obronie prostytutek i przeniosła walkę z Albionu na kontynent, kładąc kamienie węgielne pod dzisiejszą międzynarodową federacyę abolicyonistyczną.

Abolicyonizm współczesny, otrzymał po ruchu przeciw niewolnictwu murzynów skierowanemu, nietylko nazwę, ale również i odwagę i męstwo swych inicyatorek.

Jedną z głównych bojowniczek w walce o zdjęcie z murzynów ja-

---

*) Jozefina Butler: Mój pochód krzyżowy, zarysy autobiograficzne żywota i pracy z przedmową S. Posnera. (Biblioteka abolicyonistyczna). Warszawa 1904.

rzma niewoli A b y K e l l y nazywali księża „hyeną“, a kazania przeciw niej zwrócone, rozpoczynali słowami biblii: „I znalazła się między nami Jezabel“... Przyjaciółkę jej Angelinę G r i m k e chciał w r. 1837 w Filadelfii tłum życia pozbawić.

Ta sama droga czekała Józefinę Butler, gdy rozpoczęła w r. 1870 walkę o zniesienie uchwalonych w r. 1866 przez parlament angielski ustaw, regulujących prostytucyę (Constagions diseates Acts). Wystąpiła sama, przez męża jedynie swego poparta, w rok zgromadziła obok siebie znaczną ilość zwolenników i zwolenniczek, rozwinęła w kraju olbrzymi ruch, poruszyła masy robotnicze, zebrała tysiące podpisów na petycyach do parlamentu wniesionych, aż zmusiła rząd do zniesienia ohydnych ustaw. We walce swej spotykała miłość i uznanie, ale też cyniczne szyderstwo i napaść uliczną. W r. 1866 zostały zwalczane prawa wprowadzone, w 1886 runęły. Przez czas 1870 – 79 roku zebrało założone przez Butlerową stowarzyszenie 9667 petycyj, pokrytych 2.150.941 podpisów. Butlerowa zorganizowała pierwszy kongres międzynarodowy abolicyonistyczny, który w ścisłych referatach i ożywionych dyskusyach przedstawił światu znaczenie abolicyonizmu. Butlerowa nawiązała stosunki osobiste z całym szeregiem wybitnych ludzi, zajmujących się prostytucyą w Europie i Ameryce i położyła kamień węgielny pod rozwój abolicyonizmu we Francyi, Niemczech, Szwajcaryi, Włoszech.

Ale wydana przez Ogniwo jej książka ma znaczenie nietylko anegdotyczne. Jest ona także ciekawym bardzo dokumentem czasu. Pozwala nam wglądnąć w ducha, ożywiającego abolicyonistów w zaraniu ich ruchu, pozwala nam przez porównanie z ruchem obecnym poznać, jak pogłębił się obecny ruch abolicyonistyczny, jak zmienił (na korzyść) swe argumenty.

Przesłanki, na których opierał się początkow, gmach argumentów abolicyonistek, były prawie wyłącznie natury i d e o l o g i c z n e j. W jednej z odezw wyborczych mówiły one: „Głosując na p. Childersa, tem samem uświęcacie niejako pogląd, który przypuszcza, że mężczyźni nieżonaci nie mogą żyć w czystości i że dla zaspokojenia ich żądz państwo powinno im dostarczać pewną ilość ciał i dusz kobiecych. T a k i p o g l ą d j e s t b l u ź n i e r s t w e m p r z e c i w k o B o g u i j e s t z n i e w a g ą c z ł o w i e k a i p r z y c z y n ą (!) z n i k c z e m n i e n i a f i z y c z n e g o i m o r a l n e g o o b o j g a p ł c i.

Podtrzymując tedy człowieka, który jako członek rządu pracuje nad znieprawieniem i zgubą narodu, wiedzcie, i ż z a k a ż d y o d d a n y m u g ł o s o d p o w i a d a ć (!) b ę d z i e c i e p r z e d t r y b u n a ł e m B o g a“.

Takie argumentowanie musiało wielu zniechęcać dla sprawy abolicyonizmu. Obecnie zniknęło ono zupełnie. Ruch opiera się nie na prze-

słankach religijnych, a na zrozumieniu bezskuteczności sanitarnej reglementacyi, szkodliwości jej moralnej i ohydzie społecznej.

Z książki Butlerowej wynika nadto, iż abolicyonistki zdawały sobie dobrze sprawę z szerokości podstaw abolicyonizmu, z olbrzymiego znaczenia walki z reglementacyą dla obu płci

„Co do mnie, mówi B., to nigdy nie patrzyłam na ruch nasz jako na sprawę, która dotyczy jednej płci bardziej, niż drugiej. Prawa bowiem, które pragnęliśmy obalić, nietylko uświęcały niewolę kobiety, lecz potęgowały zarazem wyuzdanie mężczyzny; obydwa te smutne zjawiska były zawsze ze sobą ścisle połączone, jak o tem pouczają nas zarowno dzieje, jak i doświadczenie".

I widzimy już z książki Butlerowej, że od pierwszej chwili w ruchu abolicyonistycznym biorą udział zarówno mężczyźni, jak i kobiety. O bardzo żywym i ofiarnym udziale tych pierwszych mówi inicyatorka abolicyonistycznego ruchu na wielu bardzo kartach mówi z ciepłem i uznaniem, dając dowód, że nie zacieśniony przesądami (choćby świeżej daty) jej umysł, doskonale pojmował i oceniał znaczenie faktu, iż wyswobodzenie kobiety nietylko wpłynie dodatnio na mężczyznę, ale musi byćwspólnie przez uświadomioną część jednej i drugiej płci dokonane.

Jeszcze na jedno ciekawe zjawisko zwraca Butlerowa uwagę. Podczas całej swej działalności spotykała się z żywym współudziałem klasy robotniczej. Opowiada o robotnikach angielskich, którzy ją bronili przed napaściami tłumu, najętego przez właścicieli domów publicznych, – opowiada o przyjęciu, jakie jej zgotowali robotnicy i robotnice paryskie, gdy przyjechała do centrum „policyi moralności", aby w jej siedzibie akcyę przeciw niej rozpocząć, przytacza dowody uznania przez robotników włoskich jej przyznane.

Rzecz zrozumiała. Dowody te sympatyi robotniczej klasy są naturalnym wyrazem tego faktu, iż reglementacya dotyka najboleśniej klasy pracujące, jest jedną z najboleśniejszych zniewag i krzywd, które spotykają klasę robotniczą ze strony klas posiadających. Sprawą tą zamało zajmowali się robotnicy. Powodem tego jest z jednej strony nieufność do abolicyonistów, rekrutujących się przeważnie wśród burżuazyjnych ideologów, a z drugiej strony zbyt rzadkie apelowanie abolicyonistów do mas robotniczych. Że od wejścia abolicyonizmu w masy zależy jego przyszłość, tego dowodzi chociażby jego historya w Anglii, (przytoczona przez Butlerową) oraz początki abolicyonizmu w Niemczech, gdzie uczennica p. Butlerowej, Gertruda Guilome-Schack, chcąc rozwinąć akcyę owocną rozpoczęła działalność wśród robotnic, a w końcu weszła do stronnictwa robotniczego w czasach największych prześladowań tegoż przez rząd niemiecki. Do myślenia nad tem wszystkiem pobudza książka Butle-

rowej znakomicie. Jeżeli redakcya Ogniwa podejmie się wdzięcznego zadania zaznajomienia czytelników polskich z argumentami abolicyonistów za pomocą wydawania prac nowszych abolicyonistycznych, to zasłuży na szczere uznanie. Wśród starszej literatury abolicyonistycznej, szczególniej na przekład zasługiwałby protokół genewskiego kongresu.

Kaer.

KORESPONDENCYA.

Z Poznania.

W Nr. 24 „Nowego Słowa" znalazłam notatkę o wiecu kobiet poznańskich. Notatkę tę pragnęłabym cokolwiek uzupełnić, a przy tej sposobności powiedzieć słów parę o naszych tutejszych stosunkach.

Nietylko wiec sam, lecz już sama inicyatywa zwołania go, jako krok pewnej samodzielności kobiet, wywołała w Poznaniu ową okropną burzę, o jakiej wspomina autorka notatki. Padały gromy w postaci takich epitetów, jak „rozczochrane feministki", takich argumentów jak: wartość kobiety mierzy się ilością urodzonych synów (broń Boże nie córek!), umiejętnością pilnowania kurnika, szczotek, kuchni i t. p.

Aż litość brała, widząc owych „poważnych" pasibrzuchów, znajdujących się zwykle w stanie drzemki, owe „filary" poznańskiego społeczeństwa, jak się nagle przebudzili, żółć obficie wylewając na wieść, że kobiety mogły sobie pozwolić na jakiś krok, nie prosząc o ich łaskawą decyzyę.

Filary te, z prasą poznańską na czele, dały dowód takiej bezgranicznej nędzy umysłowej i że tak powiem przedpotopowej pleśni, że już nigdzie chyba może nawet w Chinach, nic podobnego zdarzyćby się nie mogło.

To też pochwalam z całem uznaniem, zaprotestowanie przewodniczącej wiecu p. A. Tuł. przeciw brutalnym a despotycznym napaściom wstecznej prasy poznańskiej, przyjęte zresztą, wielkim aplauzem całej zebranej na wiecu publiczności.

Prasa tutejsza jest tylko wyrazem nielicznej kliki, ale kliki rządzącej i teroryzuje cały ogół, niedopuszczając do głosu ani do wpływu, żadnej śmielszej, niezależnej i uczciwej jednostki. Nagana należała jej się całkiem słusznie, także i w tym razie. Pod tym przeto względem zgadzam się najzupełniej z autorką notatki w „Now. Słowie".

Lecz co do treści referatów, to niestety ocena ich wypadła o wiele za pobłażliwie. Nietylko że się na tym wiecu nic nie wyjaśniło, ale nie było nawet możności do żadnych wyjaśnień. Bowiem organizatorki wiecu popełniły przedewszystkiem ten wielki błąd, że z programu usunęły zupełnie duskusyę, odbierając przez to prawo swobodnego wypowiedzenia się uczestnikom wiecu za lub przeciw referatom, zawartych w nim poglądom i przekonaniom. Przekonania! Boże kochany! czyż poznanianki posiadają jakiekolwiek samodzielne przekonania, a nie powtarzają za panią matką i księdzem proboszczem pacierza utartych komunałów! Uwydatniło się to najmocniej w referatach wiecowych. Wszystkie przeżytki idejowe, dawno już wycofane z obiegu przez inteligencyą innych naszych dzielnic, mieliśmy tu sposobność „podziwiać". Referaty miały wszystkie za temat: wychowanie dzieci i oświatę, oraz uspołecznienie ludu. Temat sam przez się doniosły i sympatyczny, cóż z tego, kiedy przemówienia

poznanianek były wzorowane na kazaniach niedzielnych i rekolekcyach jezuickich, widocznie jedynych źródłach wykształcenia w kwestyach społecznych, z jakich czerpały te panie. Taki referat, jak np., p. Skarz., żony posła, raziłby w Polsce nawet przed stupięćdziesięciu laty, w okresie odradzającego się ruchu umysłowego i społeczno-reformatorskiego, po epoce jezuickiej. W obecnych czasach powinien zostać napiętnowany, jako objaw feodalnej, tendencyi podszytej strachem przed ucieczką siły roboczej ze wsi.

Udział wieśniaczek w wiecu wyglądał na oko bardzo demokratycznie, ale myliłby się, ktoby sądził, że stało się to na zasadzie tolerancyi i uszanowania dążeń pracującej klasy. Obie te wieśniaczki zostały nie dopuszczone do głosu, lecz zaproszone przez komitet wiecowy, ponieważ z góry wiedziano, że przemówienia ich będą echem ogólnie obowiązujących i pilnie przestrzeganych w Poznaniu komunałów. Mówiąc o wychowaniu, kładziono główny nacisk na religijność, która ma się zasadzać na wskazywaniu rączką dzieciny nieba „bo tam jest Bozia", na obarczaniu dzieci od pierwszych lat bezmyślnem powtarzaniem pacierza i formułek katechizmu, słuchaniu z pokorą kazań, choćby najnudniejszych i najniedorzeczniejszych na wszystkich odpustowych nabożeństwach pilnem uczęszczaniu do bractw i śpiewaniu kościelnych pieśni. Nawiasem mówiąc, zachęta tak żarliwa jest w Poznaniu na tym punkcie dziwnie, zabawna, bo i bez niej nikt tu inaczej dzieci nie wychowuje i nikomu się jeszcze nie śniło, wychowywać na podstawie niezależnej moralności, jak się to zdarza na szerokim świecie.

Narodowe zaś wychowanie ograniczono do uczenia na elementarzu i pieśni polskich kościelnych i narodowych. O tem jednak, aby pogłębić i podnieść życie narodu, przez szerzenie nowożytnej oświaty, przez zaznajamianie ze społecznemi stosunkami życia ekonomicznego i społeczno-narodowego — nie było wcale mowy. Przeciwnie strach przed złemi książkami (a trzeba Sz. Czytelniczkom wiedzieć, że pod kategoryę złych książek zalicza się w Poznaniu cała niemal współczesna literatura europejska i polska) i usilne przestrzeganie, aby ich nie brać do ręki, stanowiło sutą wyprawę każdego przemówienia.

Natomiast zalecano jako karm duchową różne żywoty św. czytania kazań niedzielnych, podręczniki dla bractw różańcowych i wreszcie jako szczyt — niemożliwie wsteczne gazety poznańskie.

O kształceniu zaś charakterów, silnej woli, niezależności przekonań, czego nam najbardziej w Poznaniu brakuje, to już ani wzmianki nie było. I co prawda poznanianki nie mają o tem żadnego wyobrażenia, a nawet nie wolno mieć tutaj takich zalet!

Natomiast wszystkie referentki zachęcały do oszczędności, wcale w to nie wchodząc, że większość narodu niema wcale z czego oszczędzać. Żadna broń Boże! nie dotknęła opłakanych stosunków zarobkowych kobiet poznańskich. Ba! w pobożnym katolickim Poznaniu uchodziłoby to za przewrotowe, niebezpieczne dla „św. wiary" dążenie. Niechby tylko która z lepiej myślących kobiet poważyła się odezwać w tej kwestyi. Oj! zakrakanoby ją.

Wiec ten był więc w całości swej tylko smutnem świadectwem, nizkiego poziomu umysłowego kobiet poznańskich i ich społecznego zacofania. Jedna z mówczyń (a było ich pięć) p. St., żona lekarza, wykazała wprawdzie dużo uczucia, zapału, a nawet talentu i wrodzonej inteligencyi, jednakże i ona nie zdołała wybiedz o wiele po nad ogólny poznański szablon.

Jest to bardzo charakterystyczne dla kobiet tutejszych, że „Nowe Słowo"

jedyny polski organ inteligencyi kobiecej, nie ma tu prawie zupełnie abonentek. Nie widujemy też tam żadnej korespondencyi z tej dzielnicy, żadnego zainteresowania się sprawami kobiecego świata. Jest to niewymownie smutne!. Pismo takie powinno być wspólnem ogniskiem i wymianą myśli poskich kobiet z wszystkich trzech dzielnic. Dla czegóż tak nie jest? Nie jest to winą pisma, tylko niestety naszą. Niema u nas żadnego zainteresowania się wśród kobiet sprawami, które nas najwięcej obchodzić powinny — a jakie pojęcia w tej kwestyi mają kobiety tutejsze i to z t. zw. inteligencyi, świadczy najlepiej ich publiczne listy do „Dz. Poz.“ w sprawie wiecu.

Niemieckie kobiety mają stowarzyszenia, odczyty i wiele pism, broniących interesów ich płci, — polki mają jedno „Nowe Słowo“, a w całem zaborze pruskim może kilka tylko abonentek. Czyż to nie smutne? Bo też zdumiewać się trzeba nad ospałością umysłu poznanianek, nad ich bezgranicznem duchowem lenistwem. Istnieją wprawdzie i tutaj jednostki, oddane społecznej pracy podług swego zrozumienia i tym w każdym razie należy się szacunek i uznanie, lecz są to jednostki bardzo nieliczne. Na ogół zaś, jeżeli cokolwiek zaczyna się ruszać, to tak powoli, z takim niewolniczym strachem i bojaźliwym oglądaniem się na opinię i zdanie mężczyzn, że patrząc na to, aż mdło się robi.

Właściwie w Poznaniu mamy dwie kategorye kobiet. Jedne trzymają się oburącz czarnej sutanny księży, dla drugich wyrocznią jest zdanie mężczyzn, choćby najbardziej ograniczonych.

Piewsza kategorya to istoty bez woli, bez charakteru, ze spaczoną uczuciowością — sławne bigotki poznańskie, przejęte bałwochwalczą czcią dla księży i ich wyroków, we wszystkich sprawach życia i śmierci. Tych nie interesuje nic zgoła, ani cierpienia bliźnich, ani troski i nieszczęścia własnego społeczeństwa, cóż dopiero sprawy ogólno-ludzkie. Narodowo są one zwykle zupełnie obojętne, bo cóż znaczy narodowość i inne sprawy grzesznego świata, który jest „w mocy szatana“, wobec zbawienia duszy. Niech nikt nie myśli, że to są wyjątki nieliczne — stare baby na wymarciu. Nie, takie zdarzają się nawet wśród młodych dziewcząt i we wszystkich sferach. Z takich już nigdy nic nie będzie. Cały świat zmienić się może, a one pozostaną, czem są i będą do końca życia podtrzymywały pleśń i zaduch atmosfery poznańskiej.

Druga kategorya to typowe wychowanki męzkiego poglądu na kobietę owoc ich wiekowej pedagogii. Uwierzyły one, że bezmyślność i niewolnicze uleganie zdaniu i woli mężczyzny, jest ich najświętszym wdziękiem i cnotą.

Są to owe niewinne dziewice z lalkowatą buzią i bezmyślną duszą lalki, są to owe „idealne żony“, przyrządzające z pietyzmem barszczyki i rosołki, zniszczonym birbantką albo pijatyką mężom, są to czułe mamusie zakochane w synkach (o których nic nie wiedzą) i strojące córeczki na pokaz dla amatorów wdzięków, aby im ułowić „dobrą partyę“, są to najwierniejsze podpory i sojuszniczki mężczyzny w jego samolubstwie, wstecznictwie i karyrowiczowstwie. W towarzystwie takich kobiet, nie usłyszysz jednego samodzielnie pomyślanego zdania, nie zainteresujesz ich naprawdę żadną donioślejszą kwestyą, śmiech cię tylko zdejmie, jak się zaczną popisywać mądrością swych mężów i panów, lub powtarzać zdania pochwycone z „Dziennika poznańskiego“.

Jeżeli sąd mój jest ostry, to nie wypływa bynajmniej z niechęci i uprzedzenia. Sama jestem poznanianką i losy kobiet tutejszych są mi bardzo bliskie i drogie. Boli mnie to, że nas jak maleńkie dzieci byle kto na pasku wodzi, lub jak kopciuszka w kuchni trzyma, i dla tego trudno mi milczeć bo zawsze

od krytyki zaczyna się naprawa stosunków. Może i u nas przyjdzie czas, że się kobietom oczy otworzą, i zapragną wznieść się na wyższy stopień wolności duchowej, a wtenczas i całe społeczeństwo zacznie inaczej wyglądać.

Prawda.

EWA ŁUSKINA: DEMON I DALHIA.

I.

Zeszli w ogród.

Z tarasu kamiennego, po stopniach pokruszonych i zmurszałych, w swój ogród — ogród róż i posągów.

Na niebie wielkie, fantazyjne, stylizowane kwiaty — przepych maowych, japońskich barw.

Cała tonacyaróżu, perłowca i dyskretnej, wytwornej szarości — roztopiona w sennej liliowości i mglistem złocie słonecznej gazy.

Z przekwitłych koron deszcz płatków więdnących osypuje się cicho. Aż na mur szary, stary — łączy z przepychem róż ziemskich — bladych, pnących, przebujnie rozkwitłych, rozpełzłych po murze, po stonowanych, spłowiałych trawnikach, po sztukateryach, maskaronach, rzeźbach, świadkach odległej epoki, uszkodzonych posągach z szarego piaskowca, fontannach i zbiornikach, zaledwie resztką zopalizowanej wody na dnie świecących.

U stóp tej rozskrzydlonej Psyche, z utrąconem ramieniem, z nad wyszczerbionej muszli zrywającej się do lotu — Magda czytała przyjacielowi dziesiątą swą nowellę, sielankę sentymentalną i stylową.

Andrzej zapytał:

— Tutaj ją napisałaś?

— Nie! Ale zobaczyłam coś takiego na zżółkłym, podartym sztychu, pod straganem starej śledziarki. To była moja rozskrzydlona Psyche!

U schyłku lata, takiego dnia gorącego, co może jest ostatnim, o takiej godzinie popołudniowej, na którą mrok czycha — przechadzają się powoli dawno niegracowanemi ścieżkami.

Andrzej w zamyśleniu ścina laską pobladłe źdźbła traw — Magda ma na ustach uśmiech słaby i bezwiedny.

Andrzej ujął jej dłoń, ukrytą w szarej, duńskiej rękawiczce:

— Kiedy przechodzę z tobą miasta i ogrody, pałace i śmietniki, kawiarnie i szpitale — zdaje mi się czasem, że dosyć mi oczy przymknąć, dosyć ująć twą rękę, jak rękę medium, aby uczuć się przetworzonym w swej istocie, oderwanym od czasu i przestrzeni — Lubię twoje marzenia... Są jak zapach mocnych perfum, ulatujących z flakonu jakiejś Julietty, pochowanej w krypcie — otwartej po setkach lat.

Po chwili mówił znowu:

— A przecież — sensu w tem niema! To jest sprzeczne z epoką, sprzeczne z historyą... Ty tworzysz na nowo kulturę, tła niebywałe, warunki nieistniejące, nazwiska i wypadki mięszasz z podziwu godnem barbarzyństwem...

Magda rozśmiała się szelmosko:

— Bo ja naprawdę jestem barbarzyńcą! Chcesz? Powiem ci... Ty mnie uważasz może za kobietę wykształconą? A ja nie umiem nic!

Zwróciła się ku niemu:

— Drogi mój... Weź prostaka, wyrobnika, o wyobraźni artysty, ale tylko wyobraźni. — Wchodzi do sklepu handlarza starożytności — może mu służy, dość, że może widzieć, obcować z żyjącymi świadkami istnień minionych — ale mowy wieków, legendy wieków — jaką szczękają rdzawe usta starych zbroic, jaką szeleszczą tkaniny zetlałe, w odcieniach niewypowiedzianych — on nie rozumie! Coś wie, przeczytał przypadkiem, pamięta — ale to ułamki rozprószone. — A ta przeszłość zamierzchła — jest jak otchłań kusząca... Nie mogąc jej przeniknąć, nie mogąc jej posiąść — stwarza ją!

Jest trochę podniecona:

— Wiesz teraz?

Zamilkła — ale po chwili mówiła znowu!

— Pomyśl! Żyć w dobie Odrodzenia, — być chłopcem wyrostkiem, lat kilkunastu, uczniem wielkiego mistrza, może Celliniego, może Michel Angela... Mieć włosy przycięte do ramion, majtki opięte jak trykoty, wywinięte żółte ciżmy i fartuch z miękkiej skóry.

Magda rozśmiała się — porwana...

— Ja nie wiem, czy owe wyrostki tak się ubierały, — ale ja je tak widzę! Chował się mały bambino z brylantowemi oczyma, w sklepiku przekupki jarzyn, którego brudną podłogę ćmiły świetne, kolorystyczne plamy. — Śmiał się często i często bywał bity — a gdy podrósł, uciekł matce i przystał do mistrza, jako jego kreatura. Lat kilka uczył się sztuki, jak rzemiosła — kolejno poznawał technikę odlewania metali, cyzelowania, złotnictwa, nadawania patyny, ceramiki, drzeworytnictwa, wytrawiania na miedzi, modelowania i tworzenia witraży. Studyował anatomię z nagich aktów na otwartem powietrzu, sposoby malowania al fresco i el graffito, rzeźbienia w glinie terrakocie i marmurze — rzucał pomysły śmiałych kompozycyj na tła o perspektywach rozległych. — Równocześnie czynne, rozmaite, wielostronnie zatrudnione życie — wyrabiało mu muskuły potężne, krew bujną, bogatą — a samo słało się przed nim, jak owocami ładowana barka, na morzu wolnem, ozłoconem słońcem i wichrami. — Krwawe szaleństwa, namiętności nagie, bezkarne mordy cudownemi sztyletami, w bajecznych pucharach podawana trucizna — hojność, odwaga, arcydzieła — kłamstwo podniesione na wyżyny sztuki, książęcy protektorzy — wszystko dało mu oddech szeroki, trzymało w grze wszystkie władze, wszystkie zmysły rozwijało do granic ostatecznych, potęgowało w czwórnasób istnienie. — A gdy młody dobiegł lat ośmnastu — bywał to już mężczyzna dojrzały, o tęgich łydkach i muskulaturze, zarastający rudo, pół-zwierz, pół-bóg...

Urwała, chwytając powietrze.

— Magda! Magda! Wiesz, co ci powiem? Jesteś aktorką — która oszalała...

Andrzej objął ją ramieniem — a idąc powoli, ma ją teraz opartą o pierś...

— „...a z rąk twych sypią się promienie — a z piersi gwiazdy ci karmiące ciekły — a z ciebie czystej rodziły się cienie..."

Idą tak — pogrążeni w dalekich myślach.

Mrok się poczynał w nich i koło nich...

W mroku błąkali się jeszcze długo — nie mówiąc do siebie nic —

Natrafili potem na kamienną ławkę pod murem — usiedli...

Gdzieś — obok nich — w zamierającej fontannie ściekała woda po kropli, do wpół wyschłego zbiornika —

Nieustający, cichy płacz — w mroku...

Andrzej bliżej przyciągnął kobietę — położył sobie na pierś — garnącą się...

Długo całował jej powieki ciemne — Jak fiołki.

II.

Raz znowu włóczyli się bez celu po ulicach, placach, zaułkach miasta.

Szła jesienna wichura, kręcąc tumanami liści zeschłych, siekąc jak mgła drobnym, przeraźliwym dżdżem...

Andrzej i Magda weszli do kawiarni, gdzie przy kasie siedzi Altenbergowska dziewczyna, o jedwabno-popielnych, falistych włosach.

Zajęli miejsce w narożnej sali pierwszego piętra, której dwie ściany utworzone z żelaza i szkła, otwierają widok szeroki na Elizejskie Pola, poprzecinane olbrzymiemi łukami linij elektrycznych.

Za wielkiemi taflami grubych szyb rozjęczała się zawierucha. Obłoki poczęły biedz po stalowem niebie, rozwijać się, skupiać — potem zawarczał grom, jak zły buldog — potem rzuciła się ulewa grubemi strugami i przesłoniła świat. — Niekiedy oślepiająca błyskawica rozdziera tę podwójną zasłonę: ciemności i spadających wód — a wtedy widniały Pola Elizejskie brunatne i płowe — i czuby młodych drzew zmiatających kitami ziemię, to znów prostujących się, jak w opętanym tańcu, pełnym drgawek, łamań, podskoków, wywijań.

W kawiarni zrobiło się prawie ciemno, przykry, żółto-szary refleks pokrył twarze obecnych i napełnił wnętrze sal tak przygnębiającym kolorytem, że co prędzej zapalono elektryczność.

Dobrze im było teraz — nieco rozleniwionym — w tej oświetlonej i ciepłej przestrzeni, odosobnionym przy swoim stoliku, opartym wygodnie naprzeciw siebie na małych, w angielskim stylu kanapkach.

Nie spostrzegli się, jak przy dziennikach i matowym stuku kul bilardowych w odległej sali, przy koniakach i czarnej kawie, przesiedzieli do nocy, do pory, w której kawiarnia zwykła się napełniać odrębnemi gośćmi.

— Pójdziemy, Magda?

— Nie — zostańmy...

Przystąpiła do nich kwiaciarka, z powiekami nieco zapadłemi od życia nocnego i bezsenności, wśród twarzy bardzo młodej i poważnej.

W cieniu szarego kaptura kreśli się odrzucona głowa dziedwczyny, jak tuszowy rysunek — silnemi cieniami oczu, ust i rozrzuconych włosów. Usta dziecinne i drobne ma ścięte jakimś chłodem przedwczesnym.

W jej ręku tkwią więzią złote cheiranthusy, urodzone w Grecyi — topazy blade...

— Ta dziewczyna wygląda jak tragedya — i ma w oczach doświadczenie stuleci.

— Umie ona śmiać się, jak bachantka — ale wtedy wypada ze swego typu — i dlatego pozwala sobie na to tylko wtedy, gdy jest pijana. Zresztą ma lat szesnaście — zna wszystko — nieustannie podziwia siebie, jak Narcyz i jest równie głupia, jak śliczna.

Andrzej z pewnem ożywieniem zwrócił się do Magdy — i mówi dalej:

— Nie wszystkie one jednak obchodzą się bez mózgu, jakbyś może myślała, zwłaszcza z tych, które się tutaj gromadzą: towarzyszki artystów i estetów. Ich piękność jest wytworem sztuki, jak widzisz wysoce indywidualna i nastrojowa. Są tu uwodzicielki nietylko ciał, ale i umysłów, razem modele jedyne i twórczynie. Późno w noc — sale te wyglądają czasem jak pracownie — czasem jak majaczenie erotomana, czasem jak szpital. Nad ranem, w tej najposępniejszej godzinie szarego brzasku, brudnego jak rynsztok, posępnego jak nuda, zimnego jak samotność — ludzie siedzą skurczeni, z twarzą wbitą w pięści, rozdzieleni szerokością stolika, naprzeciw siebie. Beznadziejna nerwoza strupiesza wszystkie te dusze, rdza rozpusty przegryza te młode ciała. Czasem jakaś kobieta, podrażniona, drażniąca, szatańska, — zapłacze... Jakie zwierzenia — jakie opowieści, — —

Andrzej urwał nagle.

Magda oparta obu łokciami o stolik — idzie za nim myślą i wzrokiem.

Przechodzą kobiety...

Kobiety o konturach tak smukłych, a razem tak prostolinijnych, jak na rysunkach Grévin'a, uczesane z prostotą wykwintną na wzór dziewic Botticellego —

Kobieta podobna wizyi Danta Rossetti, kobieta o profilu z obrazu Cabanel'a, kobieta z afisza Muchy.

Kobieta jak Baudelaire'a: Najświętsza Panna Smutku, kobieta nowell Poe'go: uosobione mysterium, kobieta jak: Księżniczka daleka — Rostand'a.

Kobiety pre-rafaeliczne — kobiety winietowe — —

Przechodzą — a za niemi pozostaje smuga niepokoju nadzmysłowego — i snuje się zapach perfum: Corylopsisu i Agapany.

Andrzej z głową opartą na ręku patrzy w milczeniu na te wszystkie kobiety bez duszy — subtelne jak dusza...

Jakie wspomnienia przeżywa? Jakie rozkosze i gorycze wyżłobiły te rysy delikatne w okół skroni, których ona nie znała — nadały ustom te zaciśnięcia szczególne?

Starała się odgadnąć prądy ciepłe, jakie przebiegały jego żyły, drgania skryte jego zmysłów na te falujące wygięcia smukłych, przecudnych tworów kobiecych...

Cierpiała — upokorzona w swej kobiecości.

Obejrzała się w koło.

Przy sąsiednim stoliku starzec jakiś o głowie dziwacznej jak paradox, z wolterowskim uśmiechem, niesłychanie długim, zżółkłym palcem, suchą wiązką ścięgien, kreśli na marmurze porozlewanym winem — karykaturę ciętą i cyniczną.

Z drugiej strony grupa klubowców we frakach i białych krawatach. Między niemi mężczyzna wysoki i bardzo piękny — o popielatym tonie włosów i ustach boga — mówi coś drwiąco, a razem namiętnie do dziewczynki lat może dwunastu, jak bajka cudnej i poważnej, podobnej zuchwałemu, smukłemu pazikowi, a stalowe jego oczy z silnych cieni powiek tryskają niekiedy światłem — naprawdę jak dyamenty źrenic Lucifera...

Jakby wcielone zboczenia intelektualne i seksualne, nerwice i psychozy — dały sobie rendez-vous — u schyłku tej nocy paryskiej.

Magda widziała i śledziła namiętności ludzkie w grze i napięciu — te krzywice, te deprawacye — w pełnym, jawnym bycie i rozwoju.

W tej atmosferze demonizmu — ona się odnalazła — ale czem to było dla Andrzeja?

Spojrzała nań bacznie.

Zewnętrznie przystosowany dokładnie do środowiska — ze swą zgrabnością ruchów powolnych, uwydatnioną męzkim wykwintem stroju — ze śladami życia rozrzutnego zmysłów i umysłu w rysach unerwionych — dobrze przystawał do tła.

Studyowała jego profil wyrazisty, o skroni nieco zapadłej, doskonale spokojny.

Ale jedna szafirowa żyła na tej skroni nabrzmiała — szaleństwo jakieś przyspieszało pulsacye jego krwi — wzdymały się fale instynktów zwierzęcych i boskich.

Słowianina tęsknota liryczna, podziemne nurty poczuć bolesnych i niewysłowionych — w duszy ludzkiej Gehennie, poniżej świadomości płynących, — żyła cała w lekkiem nagięciu jego ust — w rysie szczególnej.

— „...przeciwko słońcu, jak łódź biedna płynął — wzięty szatanem, on nie był szatański...

...potem jako cień leśny w lasach zginął — jak paralityk w ogień patrząc Pański...“

Żałość jakaś ścisnęła jej krtań — i w tej kawiarni modernistów, poczęła doń mówić, jak nigdy nie mówiła.

Z dna serca wiernego i prostego, które teroryzował mózg, przewrotny i łotrowski — zdołała dobyć takie słowa i obrazy, które mogły być wspólne — tutaj — tylko im dwojgu...

I oto wolą nagłą i mocną dokonała, że Andrzej zwrócił się do niej, jak zwraca się ku światłu więzień, którego oczy na wpół oślepły — w cieniu i wilgoci.

Potężny instynkt rasy, dziedziczności i tradycyi — jak cięciwa łuku rozprężony nostalgią do bólu — drżał teraz...

— Andrzeju — pamiętasz, jak leżałeś po pojedynku ranny w głowę, zakutą bandażami. Wiesz? byłeś podobny do rannego orła, jakiegoś słonecznego hussarza. Widziałam cię, mości rotmistrzu, z buzdyganem w dłoni, na złotojabłkowitym rumaku, w poszczerbionej zbroi, z ryngrafem Boga-Rodzicy na złoconej blasze — wyjeżdżającego z drewnianego kołowrotu, z bramy staroświeckiej, z łacińską sentencyą pod daszkiem, w ranek letni... Czaple pióro u stalowej misiurki, u bark olbrzymie skrzydła skalnego orła, proporzec amarantowy powiewa z dziryta — a jasne, skąpane w świetle oczy, patrzą z pod łnisko zarysowanych brwi — w słońce wschodzące gdzieś nad mazowieckiemi anami zbóż. Mijasz, mości rotmistrzu, wieś swą rodzinną, z włóczącemi się dymami, co owijają szczyty białych topól, sady, gumna, strzechy niskie... Kłaniają ci się do kolan gospodarze — panie dobry — psy wiejskie merdają ogonami i poszczekują radośnie, ciemnieją brunatne, mazowieckie sukmany, jaskrawią się kwiaty płócienne, pomięszane ze złoconą „nędzą“ u czapek młodych parobczaków. Koń twój parska, animusz i fantazya rycerska rozpiera ci serce, bijące żywo i dzielnie, na ustach drży ostatni pocałunek młodej żony, a w duszę patrzą jej oczy łzą zalane, jak oczy stróża-anioła... A za tobą, mości Sielawo, jedzie śmierć.

D. c. n.

DALSZE UWAGI O KOMEDYI.

Zajmującą jest sprawa obserwacyi. Zdolność obserwacyjną łączą najczęściej właśnie z komedyą, w malarstwie z karykaturą, nigdzie niemal indziej nie mówią o obserwacyi. Wyraża się przez to właściwie tę myśl (niekoniecznie ściśle wysnutą), że komedya związana jest z środowiskiem, w którem poeta komiczny żyje. Taka więc postawa umysłu określa właściwie po części istotę komedyi, ale nie określa talentu obserwacyjnego. Ten talent bowiem potrzebny jest wszędzie. Jak np. zbadać talent obserwacyjny autora monologu? Trzeba zbadać, czy osoba mówiąca obserwuje się sama, czy to, co mówi, jest owocem jej własnej obserwacyi. Bez względu na to, czy to jest obserwacya subtelna czy nie — talent bowiem autora okaże się, gdy zdoła wyzyskać rozmaite sposoby obserwacyi. Nie można zaś mierzyć tego talentu tem, że się tę osobę rozpoznaje, ponieważ się ją widziało w życiu w takich i podobnych sytuacyach. W ten bowiem sposób wyraża się myśl, że autor skopiował rzecz z większą lub mniejszą dokładnością. Jednem słowem, przyznaje sie bardzo często talent obserwacyjny ludziom, którzy umieją zręcznie kopiować. Taka jest psychologia powstania sądu w umyśle widza. Ten umysł nie zawsze myli się: wiadomo bowiem, że niema człowieka na świecie, któryby nie umiał obserwować jakkolwiek. Powiedzieć o autorze komedyi, że umie obserwować, a rozumieć przez to, że jego osoby są dokładnie oddane wedle wzoru, nic właściwie nie znaczy ponad to: autor widział to, co ja, widz tu obecny, również widziałem, a jego talent polegałby na dokładniejszem spamiętaniu rzeczy ujrzanych. Szłoby, co prawda, o ideę komiczną, o której ja, widz tu obecny, nic nie wiem, a wobec której moment obserwacyjny jest niemal obojętny, ponieważ konieczny. Idzie więc o to, czy osoby komedyi obserwują się i jak się obserwują, czy wysnuwają wnioski z swoich obserwacyi odpowiedniem postępowaniem, czy wpływają na się wzajem.

Obserwacya w zwykłem znaczeniu nie jest talentem, lecz narzędziem, którem się człowiek posługuje dla utrzymania się przy życiu, jest wytworem i koniecznością fizyologiczną. Pewną jej ilość większą i moc nazywamy już talentem, powiedzmy ilość niepotrzebną do życia, nadmierną. Talent zaczyna się się tam, gdzie obserwacya okazuje się bezinteresowną tzn. że talent widzi rzeczy, które do życia są niepotrzebne, widzi więc ideę komiczną, której nikt inny nie widzi. Na scenie komicznej taki talent jest niemożliwy; ustawcie go na scenie, a więc każcie mu z tego talentu korzystać, a obaczycie, jak wszystkie osoby zaczną się go bać, zaczną stronić odeń, uciekać. To właśnie poeta komiczny, skazany na samotność lub na maskowanie swego talentu, którego utylitarnie użyć mu nie wolno. Nie dlatego, by chciał tem umożliwić sobie życie w towarzystwie, lecz dlatego, że istotą talentu jest bezinteresowność. Jeżeli więc poeta komiczny ukaże się na scenie komicznej, to zawsze w charakterze swym towarzyskim, niemal fikcyjnym. (Albo też może się ukazać w dramacie, ale wówczas opanowany przez ducha wyższego stanie się osobą tragiczną i albo swego talentu użyje w sposób jedynie możliwy: napisze komedyę lub też zginie). Wniosek stąd naturalny, że poecie komicznemu życie towarzyskie wcale niepotrzebne, że fakty towarzyskie może czerpać jedynie jako materyał konstrukcyjny dla idei komicznej. Tej w towarzystwie nie znajdzie nikt inny, tylko on jeden, ponieważ ma ją w sobie. Wyzyskany utylitar-

nie dla celów dalszych czy wogóle innych, pociąga za sobą konsekwencye, nie mieszczące się w ramach komedyi. Może stać się narzędziem panowania i władania duszą ludzką, którą odgaduje, którą pragnie skierować na tory jedynie właściwe, ponieważ ją kocha i ponieważ pragnie ją obdarzyć swoją mocą. To już raczej intuicya. Idziemy za daleko. Kierunek bowiem tej intuicyi może być niezgodny z jej istotą. Intuicya nie może być utylitarna. Wróćmy do komedyi.

W komedyi nie znajdzie nigdy talentu obserwacyjnego w kształcie pełnym, ponieważ ten niemógłby się zużytkować. Zawsze więc w tej, żeby rzec tak, ilości, którą utylitarnie zużyć wolno; lub, powiedzmy nieściśle, pod maską. Po czem więc poznać, że autor umie obserwować, jeżeli jego osoby nie obserwują? Muszą się obserwować, ale nie wolno im mieć talentu. Autor dramatyczny umie obserwować najrozmaitsze stopnie zdolności obserwacyjnej. Czyli obserwuje za każdym razem, za każdą niemal repliką inaczej. „Subtelna obserwacya" jest więc faktem wówczas, gdy osoby obserwują się — dobrze czy źle, to obojętne. U Perzyńskiego tak nie jest, (Niżej obaczymy, u kogo tak jest, nie mamy tu bowiem na myśli jakiegoś oderwanego poety). Jego osoby nie umieją obserwować, nic nie widzą, nie wyrażają sobą idei komicznej. Janek Topolski, który w chwili dobrego humoru odsłania im na chwilę ich obłudę a swój cynizm niczem niemaskowany, nie obserwuje wcale. Ta obserwacya do niczego mu nie służy, jest dla galeryi. Więc w komedyi tej nawet nie potrzebna. Obserwacya, o której mowa, jest zawsze utylitarna, kieruje postępowaniem osób, nasuwa wnioski, jednem słowem, do czegoś służy. U Perzyńskiego znalaźćby można jedną tylko scenę, która świadczy o talencie poety, to scena między Heleną a Olszewskim, oparta na ciągłem wyzyskiwaniu znajomości wzajemnej, więc na wyzyskiwaniu obserwacyi wzajemnej. Obserwacya w komedyi nie jest talentem, lecz jak już zaznaczono, koniecznoćcią fizyologiczną. Każdy charakter komiczny stworzy sobie odpowiednią dla swoich celów zdolność obserwacyjną. Obserwować m u s i każdy człowiek. Bez tego niema życia. Tylko jest różnica w stopniu. Jedni obserwują dokładnie, inni mniej dokładnie. Powiedzieć więc autorowi, że dobrze obserwuje, nic wiele znaczy, ponieważ w ten sposób stwierdza się jedynie swoją własną zdolność obserwacyjną, rozpoznaje się swoje własne spostrzeżenia. Takie powiedzenie jest zwykłem porównaniem z naturą, które do niczego nie wiedzie, ponieważ natura może rozmaitym umysłom rozmaite okazać rzeczy, a jednemu ukaże ideę komiczną, Pytanie przedewszystkiem, czy te osoby obserwują się wzajem, czy umieją z tego dla jakiegoś celu wnioski wysnuwać, czy umieją żyć. Talent autora tem mierzy się przedewszystkiem. Dla każdej innej obserwacyi wystarczy pamięć szczegółowa.

Powiedzieliśmy, że obserwacya poety jest bezinteresowna. Tę bezinteresowność rozmaicie pojmują. Zdarza się tedy, że w towarzystwie (powiedzmy dla ścisłości w recenzyach, które, jako organ towarzystwa, wyrażają jego zdanie) unikają (względnie ganią) człowieka, który swoim utworem dał dowód prawdziwego talentu obserwacyjnego. (Słaby talent obserwacyjny można wyczuć w recenzyach, jak wogóle wrażenie na widowni dokładnie czasem oddaje istotę dramatu. Otóż słaby talent obserwacyjny wywoła zawsze poklask, mocny i prawdziwy oburzenie; chociaż nie odmówią mu np. talentu). Ów poeta nie użył go utylitarnie, nikomu nie zaszkodził, nie wysnuwał wniosków dla swego postępowania, użył talentu tam, gdzie jedyne jego pole, w komedyi czy w dra-

macie. Zbudził nienawiść. Stąd, stosownie do stopnia inteligencyi widzów, lub czytelników, rozmaite pretensye do autora, którego posądzają o satyrę. Ta satyra przedstawia się jako obserwacya faktów, materyału, w którym ma się wyrazić idea komiczna.

Wszystko to może się również odnosić do tragedyi, ale, jak zauważono, talent obserwacyjny w tragedyi staje się intuicyą. W komedyi jest kierownikiem całej akcyi, na scenie go niema. Przypuśćmy zaś, że jest, ale, że do pewnego stopnia jest zamaskowany, żeby nie budzić obawy i nienawiści u współaktorów. Nie jest to maska obłudy, stworzona własną wolą, lecz naturalna! Obserwacya takiej osoby nigdy nie będzie intuicyą, ponieważ najpierw znajduje naturalne w sobie samej granice i ponieważ niema kogo odgadywać: komedya nie znosi krańców, istot poważnych i głębokich. Poeta komiczny, to właśnie talent obserwacyjny o krok niewielki oddalony od intuicyi. Ta pozorna maska u istot komicznych jest tak samo koniecznością fizyologiczną, jak konwenans towarzyski, o którym poprzednio była mowa. Wolno więc w komedyi obserwować się wzajem, byle ta obserwacya nie zachodziła zbyt głęboko, byle nie pociągała za sobą następstw poważnych, byle nie była intuicyą, ani talentem.

Dlatego np. idealista, z swoją żądzą utylitarnego stosowania ideału, będzie niemal zawsze osobą komiczną. Dzisiejszy teatr jeszcze tego nie wprowadził całkowicie, ale idea komiczna znalazła już swoje miejsce w powieści. Mam na myśli „Pałubę“ K. Irzykowskiego. Idea komiczna nie w tem tkwi, że ktoś, jak mówią, gra komedyę. Wówczas bowiem o czem innem mowa. Wyrażenie niedokładne, nie określające ani rzeczy, ani komedyi. Komedya nie jest udawaniem. Nie można robić takich przeciwstawień: Prawda-Komedya, albo: Szczerość-Komedya. Jestto pomięszanie różnorodnych pierwiastków. Osoby komiczne nie udają, nie wiedzą oczywiście, że grają komedyę (co innego aktorzy). Zdają sobie jedynie sprawę z tego, jak dalece poważna lub niepoważna jest ich sytuacya. Podobnie też osoby tragedyi. Czyli, że mają swój sposób pojmowania i odnoszenia się do spraw swego życia. Trzymają się z konieczności pewnej wytycznej, która im granice wskazuje towarzyskie, naturalne. Są komiczne i przez to, że ten świat towarzyski wydaje się im całym światem, poza którym niczego osiągnąć nie można, wszystko chcą mieć w obrębie tego świata. — Otóż np. talent zużytkowujący się utylitarnie, jest temsamem komiczny, sięga wyżej czy dalej niż może i ma prawo; wszystkie potęgi śmiechu wskażą mu naturalne granice, udowodnią mu, że nie był talentem, idealiście, że nie miał idei. Sięga! W tym wyrazie już można odkryć pierwiastek sentymentalny, który cechuje nową komedyę.

Cechuje więc osoby komiczne utylitaryzm. Istotą talentu jest bezinteresowność, sama więc żądza spożytkowania tego talentu dla życia wskazuje, że tu istnieje pretensya, talent pozorny i fałszywy. Więc znajdzie granice w sobie i w oporze innych potęg. Istotą idei jest bezinteresowność, sama więc żądza spożytkowania jej dla życia wskazuje, że tu istnieje pretensya, fałszywy idealizm. Więc znajdzie granice w naturalnych dążeniach i w oporze, który mu stawi rzeczywistość (Irzykowski nazwał tę podwójną granicę, która, jak widać, jest ostatecznie jedną, pierwiastkiem pałubicznym, podkreślając tem charakter złośliwy, nie zawsze zabawny lub śmieszny, tego oporu; „pałuba“ oznacza także złośliwą kobietę).

Oto więc, jak mówią osoby tragedyi:

— Natura stworzyła nam taki mechanizm, że z jego powocą osiągamy pewną ilość form szczęścia, którą można nawet nazwać „nieograniczoną“.

— Nie znam waszych form szczęścia i nie znam szczęścia, tego wyrazu, który brzmi tak pięknie. Idea nie może być utylitarna. — Opiewa odpowiedź tragiczna.

Osoby komedyi mówią zaś tak:

— Mechanizm, którym nas obdarzyła przyroda, nie jest zamknięty nieodwołalnie, natura była na tyle nieoględna, że pozostawiła lukę, którą wypełnić trzeba i można nową formą szczęścia, wyższą formą życia.

— Niema wyższych form ponad te, które stworzyli nasi przodkowie. Najwyższe szczęście, to powtarzać niezmiennie ich czyny.

— Więc, jeżeli nie nową i wyższą formą życia, to tę lukę wypełnim przynajmniej pożądaniem tej nowej formy. My, osoby komiczne, nie stworzymy tej formy, ale pożądanie w nas jest wielkie.

— Więc nie wy same jesteście tą nową formą. Pożądanie! A kysz!

W tej replice słyszycie odgłos wszystkich poważnych obywateli, odgłos poważny i wieczysty wszystkich Arystofanesów. Oto więc w 1903 pojawił się we Lwowie nowy poeta komiczny, Irzykowski i tymsamym mówi językiem. Tylko, że zbytnio sprawy pomięszał, staje po stronie swego bohatera i apostrofuje go w ten sposób: „W jakiż to chaos popadłeś! Nic tu nie można było innego nad to, co ludzie robili dotychczas, a ty żyłeś pod pręgierzem fałszywej myśli, że dobrowolnie nie zrobiłeś tego, co ci się wydawało najwyższem...“ („Pałuba“ str. 386). Takby doń przemówił, gdyby go gdzieś spotkał. Widać, jakie tu pomięszanie fatalne. Brak rozróżnienia między człowiekiem, który ma ideę, który jest nią, tą formą nową, a człowiekiem, który ideę obcą zużytkowuje dla życia. Błąd ten polega na pojęciu, że forma wyższa ukrywa się w przyszłości, że nie jest obecna, że nie jest nią owo samo pożądanie, o którem mówią osoby komiczne. Osoby komiczne: ale nie poeta komiczny. Irzykowski stworzył komedyę, ale pojął fałszywie swego bohatera i pojął fałszywie ideę. Powiada np.: „A jeżeli poezya jest antycypacyą spełnienia najwyższych pragnień praktycznych...“ (str. 466). Poeta komiczny zamienił się na osobę komiczną. Tylko antycypacyą? (Zaznaczyć jednak trzeba, że ta postawa poety wyraża się w teoretycznych dodatkach do tekstu, że więc właściwie nie ma znaczenia). Bohater tej komedyi, której na imię „Pałuba“, nie zauważył, że sam jest formą nową i „wyższą“, że ta forma polega na zdolności analizowania swych pożądań i pragnień bez końca. Ten nieszczęsny nie pojął istoty swej zdolności i chciał ją zużytkować dla życia, miasto ją coraz bardziej doskonalić. Człowiek, który nie zdaje sobie sprawy z istoty swego talentu, nie ma tego talentu, ma pretensyę. Teoretycznie autor stanął po stronie swego bohatera, uwierzył we formy przejściowe, w prowizoryczność pożądań i pragnień, pomięszał wszystkie idee. Arystofanes umiał odróżniać idee tragiczne od komicznych, nic więc dziwnego, że ujrzał pewnego razu Sokratesa w oświetleniu komicznem. Irzykowski mógłby był stanąć po stronie bohatera, gdyby ten umiał użyć swego talentu właściwie, lecz wówczas musiałby brać rzecz poważnie. Na to nie pozwoliła natura bohatera, (a więc może nieświadome u autora poczucie jej komizmu), który mylnie pojąwszy swą istotę, popadał w chaos sprzeczności, dając niezwykłe rozmiary sprawom zwykłym, które się tego wcale nie domagają. Ten komizm autor rozszerzył i uogólnił na wszystkie niemal idee, wszystkim kazał biedz jednym torem komicznym).

Z tej rozmowy osób komicznych widać, że chwilowe zboczenia zmierzają nie do stworzenia nowej formy — to nielogiczne, trzeba nią być — lecz do wyładowania pewnej ilości energii na pożądanie. W samem dążeniu tkwi już pierwiastek rezygnacyi, pożądanie to ma cel obcy jego istocie, nie jestto dążenie poważne. Chociaż jest zupełnie naturalne i szczere i nieudane. Tu podana w sposób nieco oderwany, musi tak brzmieć, skoro jest schematem konstrukcyjnym, o który nam głównie idzie. Dążenie osoby komicznej idzie w takim kierunku, żeby nie módz żądzy zrealizować. Ta niemożność nie jest uwarunkowana otoczeniem, lecz brakiem talentu, brakiem właściwego i poważnego pragnienia. Niema więc właściwie dążenia. Poeta komiczny odkrywa w osobie pożądającej pretensyę, nieświadomą, co prawda, ale pretensyę. Błędem tych osób jest nietylko, że chcą usunąć przeszkodę urojoną, lecz, że w ogóle w tem przeszkodę widzą, że ta przeszkoda jest treścią ich duszy. Bez niej nie istnieją. Współaktorzy, ten i ów, nie wszyscy, widzą to pragnienie wtłoczenia w dawny mechanizm nowej formy bez baczenia, że samem swojem istnieniem tę nową formę już realizują. To spostrzeżenie pobudza ich do uśmiechu lub szyderstwa, stosownie do natury. Nie zawsze zresztą. Czasem są wszyscy za tępi albo za sentymentalni, zanadto sami na seryo biorą pretensyę, a stawiają opór nie, że chcą, lecz, że muszą mocą bezwładności, mocą tego, że sami są formą skończoną, która walczy o życie, nie chce być uszczuplona. Same zaś osoby tamte nie czują swej pretensyonalności, nie zdają sobie jasno sprawy ze swego dążenia, chcą swoje pragnienia czy talenty wyzyskać utylitarnie, nie mają mocy przeciwstawienia się wszystkim formom szczęścia komedyi. Czyli, że nie są inną formą. Są słabi. Dawny typ herosa czy heroiny komicznej nie zmienił się — rzec można, że zawsze osoba komiczna goni na oślep za swoim wzorem tragicznym, żeby go nigdy nie dopędzić. Tych ludzi różnych nie można uważać jednakowo. Arystofanes nie zawsze umiał: w swem zacietrzewieniu wydał na pośmiewisko Eurypidesa, zbyt pospiesznie. Jestto jednak właściwością wszystkich poetów komicznych, że zbytnio uogólniają, jakkolwiek mają niezmiernie wyostrzoną zdolność rozróżniania, jak widoczne ze stosunku Arystofanesa do Sofoklesa lub Ajschilosa.

Autor „Pałuby“ i tego nie umiał zaznaczyć. Rozbierając pierwiastek artystyczny komedyi, wogóle wszelkiego dramatu, dochodzimy do tej definicyi: komedya nie może być bohaterska. Taka nazwa jak „komedya heroiczna“ jest sprzecznością. Rozważając budowę rozgłośnego Rostandowego „Cyrano de Bergerac“, dochodzimy do wniosku, że Rostand nie zdaje sobie dokładnie sprawy z istoty komedyi, że przez komedyę rozumie pewną atmosferę towarzyską, zabawną, pogodną, wesołą, ale której brak właściwie idei komicznej. Inne pytanie odnosiłoby się do historyczności. Poeta komiczny ściśle związany z otoczeniem, w którem żyje, czerpie z obecności. Ale nieinaczej postępuje poeta tragiczny. Historyczność trzeba inaczej pojąć, żeby nie uledz przesadzie i nie uważać obecności za jedyną rzeczywistość, godną widzenia i analizy. Dla poety fakty historyczne, układ zdarzeń, są takim samym materyałem, w którym wyraża się idea, jak fakty współczesne. Przeszłość nie jest szkopułem, skoro można ją przy pomocy licznych już dziś środków pomocniczych zrekonstruować. Dramatów historycznych właściwie niema, zdarzenia minione niczem się od obecnych nie różnią, zważywszy, że innych niema nad minione, albo, że innych niema nad obecne. Każdy poeta wychodzi z obecności, t. zn. z siebie, a gdzie znajdzie potwierdzenie i ugruntowanie dla siebie, to obojętne. W przeszłych czy

obecnych zdarzeniach wyraża się idea artystyczna obecna, nowa forma, której w zdarzeniach niema i nigdy nie było. Zwolennicy kopiowania mówią wówczas o anachronizmach, nie bacząc, że, tragiczny czy komiczny, poeta czerpie z rzeczywistości bezpośrednio danej, ale, że umie rozmaite środowiska odczuwać i oddawać stosownie do ich natury własnej, jeżeli tylko te środowiska i te zdarzenia ideą poety są ożywione.

Mimo to komedya z natury trzyma się współczesności. Tę okoliczność należy sobie tłumaczyć nie tem, że komedya nie znosi historyczności, lecz, że poeta komiczny nie rozumie postaci historycznych, znanych czy to z historyi czy ze sztuki, chociaż to mogłoby mu posłużyć do stylowego ujęcia i uwydatnienia idei. Z drugiej strony historya z swoją skończonością, nie dopuszczającą już do prób nijakich, ponieważ rezultaty rozstrzygnęły o wartości wszystkiej pretensyonalności odpycha komicznego poetę, nie daje mu pola działania. Wszystko tu już skończone i nieśmiertelne w formach nieodwołalnych. Dziedzina komedyi jest inna. Historya jest materyałem tragicznym, a poeta komiczny, ściśle związany z swoim światem towarzyskim, połowicznym, niepewnym, nie może wyjrzeć poza ten świat i może niema ochoty. Poeta komiczny, któryby z historyi chciał wysnuć komedyę, musiałby czasy cofnąć, musiałby się przenieść w minione epoki, w obecnym świecie okazałby się istotą spóźnioną, która rzeczy od dawna rozstrzygnięte dawnym sposobem na nowo omawia. Byłby martwym szczątkiem czasów minionych. Poeta komiczny musi bacznie uważać bieg spraw obecnych i słuchać, w której stronie nowe się budzą idee i do naśladowania pchają.*) Taka jest jego konieczność, nie zaś cnota. Umieć tę konieczność ujrzeć, to talent.**)

Czasy dawnej komedyi towarzyskiej właściwie już przeminęły. Ta, o której tu mowa, jest już konstrukcyą ideologiczną, z której płochość coraz bardziej ucieka. Już prawie nie ma w sobie śmiechu. Idzie już bowiem nie o utrzymanie się przy życiu jakiem takiem, lecz przy życiu poważnem. Żądza utrzymania się przy życiu poważnem nie może być przedmiotem szyderstwa. Jakieś resztki ironicznego skrzywienia pozostają, ale bardzo nieznaczne. Są to raczej zgrzytania niż uśmiechy. Czasy komedyi przeminą zupełnie, gdy konwenanse dotychczasowe przesuną się, gdy naczelnym konwenansem będzie wolność, to znaczy, gdy nikt dla swego życia nie będzie naruszał wolności innego człowieka. Gdy nikt nie powstanie przeciw cudzej wolności: śmiać się, znaczy pozbawiać wolności. Lecz ten śmiech dzisiejszy zdziałać może wiele. Gdzie zaś naczelnym konwenansem jest wolność, gdzie każdego szczęście polega na szczęściu innego, nie na jego nieszczęściu (wziąć dla przykładu złośliwość, szyderstwo, dowcipkowanie i t. d.) tam niema komedyi. Tam panuje powszechna inteligencya, co prawda, nieco obojętna, nieco chłodna — toteż można ją wyobrazić sobie je-

---

*) Zważyć także rolę poety komicznego, którą czasem może odegrać krytyk. Tylko, że zazwyczaj krytyk bywa ślepy na prawdziwie nowe formy, a opór stawia niejako mocą bezwładności, nie rozróżniając. Postępując więc niemal taksamo jak czasem poeta komiczny, uogólnia zbyt szybko, jak każdy zachowawca. Irzykowski jest także krytykiem.

**) O K. Irzykowskim pisałem obszernie dawniej. Obecne określenie jego książki przedstawi się wyraźnie. Jestto poeta komiczny. I u niego właśnie znajdzie wszyskie te właściwości obserwacyi, o których była wyżej mowa. Komedya Perzyńskiego, ani tem mniej Nowaczyńskiego, która się do tamtej zbliża, nie odpowiada temu pojęciu komedyi. Niema w niej idei komicznej, więc pierwiastku artystycznego.

dynie w samotności. A tam niema komedyi, chyba właśnie taka, której schemat wyżej nakreślono.

Ludzie już nie usiłują przełamywać konwenansów, ponieważ wszystkie skupiły się w jednym naczelnym. Nikt nie jest śmieszny, nie dlatego, że śmieszność uważa się pobłażliwie, lecz, że niema śmieszności. Śmiech minionych epok poskromił ją zupełnie. Mechanizacya społeczeństw zaszła tak daleko, że nikt nie wykonywa gestu śmiesznego, podobnie jak w innej dziedzinie nikt nie wykonywa niepotrzebnego ani szkodliwego i nikt nie obawia się gestu szkodliwego, więc go nie tłumi: niema czego tłumić; wszyscy wychowankowie idealizmów prastarych i odwiecznych. Jednem słowem, ludzkość stała się oszczędną. Poeta komiczny nie znosi ludzi, którzy nie tracą czasu: scena komiczna opróżnia się mu i pustoszeje. Zanika wszelkie życie.

Atoli to przyszłość daleka i chimeryczna. Ludzkość oszczędna! Wykonywująca same gesty potrzebne! Zdaje się, że komedya nigdy nie przeminie, z tego powodu poprostu, że jest nieśmiertelna i związana nierozdzielnie z życiem ludzkiem. Nie można wogóle mówić o tem, aby coś przeminęło. Granice się jeno przesuwają; stare formy rozszerzają się — czyli, że powstają nowe, które dawnych nie usuwają. W rozszerzonym kompleksie nastaje nowe ustosunkowanie dawnych form, które w nowej żyją. Poza nią żyją nieco w odosobnieniu, jakby w tyle. Niema form wyższych ani niższych. Przeczucie form innych i odmiennych jest samo przez się formą samodzielną i z tego poeta komiczny zdać sobie musi sprawę.

St. Lack.

Drukarnia Wł. Teodorczuka w Krakowie, Zielona 7.

Już wyszedł

Rocznik żydowski

na rok 1905

w objętości około 22 arkuszy druku.

Zawiera następujące artykuły: Adolf Stand: Herzl. — H. D. Naumberg: Między matką a ojcem (nowela). — Wiktor E. Pordes: Żydowska twórczość. — Jan Kirschrot: Herzl (wiersz). — Maks Bienenstock: Stanowisko Achad-Haama w syonizmie. — Majer Balaban: Życie prywatne Żydów lwowskich XVI. i XVII. w. — Emilia Kormanowa: W Edlach (wiersz). — Leon Meisels: W topieli (nowela). — Józef Meller: Bund o syonizmie. — Wiktor E. Pordes: Kol Nidre (wiersz). — Marek Scherlag: Jesień (szkic). — Dr. Samuel Gutmann: Synod w Uszy. — Wilhelm Sobel: W godzinie siesty (nastrój). — Henryk Löwenherz: O emigracyi żyd. — Jehuda Wollin: Trwoga (nowela tłumaczona z żargonu). — Leon Reich: Prądy i instytucye w spółczesnem żydostwie. — Wajhi bachci halajla (ustęp z Hagady). — Dr. Grünberg: Tułaczki, ciąg dalszy. — Henryk Fogel: Misteryum Kuly (poezya). — Marcin Buber: Odrodzenie a syonizm. — Judaeus: Kolonizacya Palestyny. — L. Perez: Świąteczna rozmowa. — Schulem Aleichem: Zeaar. — Salamon Schiller: Herzl. — Majer Balaban: Lewko Bałaban.

Rocznik zdobić będzie winieta Wachtla, tudzież 8 tablic z ozdobnie wykonanemi ilustracyami: Maurycego Gottlieba: Szachiści i Autoportret; Lilienа: Winieta, Ex libris Luttmana; Heleny Miesesówny: Narada; Wilhelma Wachtla: Kiszyniew; Dawid i Goliat: Kol Nidre.

Cena »Rocznika« 1 K 20 hal.

Porto pod opaską 15 hal.; w poleconej przesyłce 45 hal. — Nabyć można »Rocznik« we wszystkich większych księgarniach i biurach dzienników kraju, tudzież wprost u nakładców.

Żydowska spółka wydawnicza »Kadimah«

We Lwowie, ul. Sykstuska l. 35.

„Na około świata"

pismo tygodniowe ilustrowane

Jedyne pismo polskie podróżnicze

mające na celu: **zapoznawanie ze światem** przez podawanie opisów podróży oryginalnych i tłumaczonych; **zaznajamianie z krajem i ludem** naszym w artykułach, na podstawie materyałów świeżych, czerpanych z pierwszej ręki.

Rozpoczynając **rok czwarty** wydawnictwa, wychodzić będzie w r. 1905 podług dotychczasowego programu, obejmującego następujące działy:

Opisy podróży lądowych i morskich. — Opisy krajów i ludów we wszystkich częściach świata. — Artykuły popularno-naukowe. — Technika, przemysł i wynalazki. — Sprawy żeglugi powietrznej i automobilizmu. — Powieści i opowiadania. — Dla miłośników fotografii: (porady i wskazówki, zdjęcia amatorskie). — Kronika esperantyczna, po raz pierwszy wprowadzona w piśmie polskiem. — Wskazówki dla podróżujących. — Rozmaitości, Filatelistyka, szarady i t. p.

Warunki prenumeraty:

	rocznie		półr.		kwartal.
W Warszawie:	4·—	rb.	2·—	rb.	1·—
w król. i cesarstwie:	5·—	„	2·50	„	1·25
zagranicą:	6·—	„	3·—	„	1·50

Dla uczącej się młodzieży w Warszawie prenumerata miesięczna 35 kop.

Prenumeratę przyjmują księgarnie, biura dzienników, oraz Red.: Warszawa, Hoża 52. — Ekspedycya za granicę: Kraków, Grodzka 50. — — Wydawca i redaktor: Antoni Orłowski.

„OGNIWO"

Tygodnik społeczny, polityczny, naukowy i literacki

W r. 1905 — trzecim istnienia pisma — służyć będzie tym samym niezmiennie naczelnym zasadom, które zakreśliła sobie redakcya, powołując je do życia w grudniu r. 1902. Szczerze demokratyczne, współczujące wszelkiej krzywdzie ludzkiej, miłujące postęp duchowy i moralny, informujące o czynach dobrych, piętnujące czyny złe — zarówno u nas, jak i u obcych, „Ogniwo" pragnęło być ogniwem, które zbliża i wiąże umysły i serca czytelników a współpracowników. Pragnieniu temu odpowiedziała poniekąd rzeczywistość, albowiem coraz zwiększająca się poczytność pisma i bliski stosunek poważnego zastępu czytelników do redakcyi świadczyć się zdają, że żywe pragnienie redakcyi znalazło oddźwięk szczery w kołach, do których zwrócone było.

W r. 1905 „Ogniwo" korzystać będzie nadal ze współpracownictwa najlepszych sił pisarskich polskich. Zastęp współpracowników obejmuje już w chwili dzisiejszej, poważną liczbę *stu kilkudziesięciu* autorów i autorek, których praca składa się na barwny obraz ruchu współczesnego na wszystkich polach kultury moralnej, umysłowej i materyalnej.

„Ogniwo" drukuje oryginalne korespondencye prowincyonalne i stara się o pozyskanie w tym względzie najlepszych sił w dziennikarstwie prowincyonalnym i wśród działaczy na różnych polach pracy społecznej. Posiada korespondentów w Galicyi, na Śląsku, w Poznańskim, w koloniach polskich w Brazylii. Drukuje oryginalne korespondencye z Anglii, Francyi, Niemiec. Udziela wiele miejsca sprawom etycznym, sprawie kobiecej, ochronie pracy, prostytucyi, sprawom współdzielczym. Prowadzi obok zwykłych kronik: politycznej, ekonomicznej i spółczesnej — kroniki: feministyczną, oświaty, dobroczynności i dział ten w dalszym ciągu rozwijać i rozszerzać będzie.

W dodatku kwartalnym (30 arkuszy rocznie) ogłosiło między innemi znakomite dzieło Esmeina

„Zasady prawa konstytucyjnego".

W kwartale IV r. b. da czytelnikom pierwszy tom Biblioteki Abolicyonistycznej, zawierający Autobiografię Józefiny Butler. W r. 1905 drukować będzie doskonałe *„Dzieje filozofii nowożytnej"* Höffdinga w przekładzie dokonanym pod redakcyą Adama Mahrburga.

Staraniem redakcyi „Ogniwa" wyszło w tych dniach pismo zbiorowe „Myśl", na które złożyły się prace kilkudziesięciu znakomitych autorów polskich.

Cena „Ogniwa" (wraz z dodatkiem) w Warszawie: rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3 k. 50, kwartalnie rb. 1 k. 75; z przesyłką pocztową rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rubli 2; zagranicą rocznie rb. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Lipowa 7.**

Wydawczyni i Redaktorka: Marya Turzyma. Z drukarni Wł. Teodorczuka w Krakowie.